

Plotki lwowskie.

Tramwaj na cały Lwów. — Nie będzie długów urzędniczych. — Arcydzieło trwałości. — Tani opał, który jest a którego nie ma. — Co ja widzę przez moje okno. — Wstrzemięźliwość nieba a jego nieogłędność. — Uniwersytet lwowski podparty patykami. — Dlaczego nasi słuchacze są spokojni. — Parkan uniwersytecki. — Wieża ratuszowa a wiatry w interpelacjach radzieckich. — Różne wiatry. — Propinatorowie posłami. — Owacy dla ks. Stojałowskiego. — Zanik odwagi cywilnej — Boże przebac im, bo nie wiedzą co czynią. — Spór między Gallem a Grąbczewskim. — Skromna uwaga. — Pan radca, który się zapomina. — Czem się pan radca upił?

Nastają dobre czasy. Cały Lwów, jak jest długi i szeroki, otrzyma nową, daleko rozrzuconą sieć tramwaju elektrycznego, a odnośne plany już są nawet na ułożeniu. Nie będzie we Lwowie jednej choćby najdalej ulicy bez tramwaju, a utyskiwania tych, którzy mieszkają zdale od śródmieścia, skończą się n reszcie. Tylko, że to wszystko nie nastąpi jeszcze w tym roku, ani w przyszłym, ani za lat pięć, dziesięć, dwadzieścia... Bo to są dopiero plany, a prawnukowie naszych wnuców powinni się już dziś cieszyć, gdyby żeli. Ale ich jeszcze nie ma i tramwajów jeszcze nie ma, więc nam wypada na razie zanotować plany, jako dobrą wolę lwowskich bogów tramwajowych i cieszyć się, że to może przecież kiedyś nastąpi, jeżeli tymczasem jakś śmiały Edison nie wynajdzie balonów do sterowania.

Taksamo zabraliśmy się rażno do innej sprawy piekającej, mianowicie do długów urzędników państwowych. Jak wiadomo, są w Galicyi jeszcze niektórzy urzędnicy zadłużeni. Zauważył to w swoim czasie namiestnik hr. Potocki, a nawet podobno wytknął sobie, jako jedno z pierwszych zadań, skonwertowanie długów urzędniczych. Nie można się dziwić, że największy może magnat w Galicyi chciał mieć urzędników niezadłużonych i powiedział sobie, że tak długo nie spocznie, dopóki nie zobaczy koguta w garnku każdej rodziny urzędniczej. Myśl była bardzo chwalebna i wszyscy oczekiwaliśmy z niecierpliwością tego poranku, kiedy obudzimy się bez długów, bez kondyktów, egzekucji, licytacji, przysięgi manifestacyjnej i innych pobocznych zajęć austriackiego urzędnika państwowego. Przekonał się jednak p. namiestnik, że najlepiej tej sprawy nie ruszać, bo gdyby nawet całą swoją olbrzymią fortunę potroił, a nadto porożbił wszystkie istniejące w Galicyi banki, to wszystkie te pieniądze, razem wzięte, nie pokryją długów galicyjskich urzędników państwowych. Długi te stanowią nie dzieło, ale arcydzieło, na które w szeregu lat złożyły się setki tysięcy rąk i głów, bogate w takie mnóstwo pomysłów, że żaden ustawodawca ani we śnie o tem nie marzył, a zbudowane tak silnie, że nie ruszy go z miejsca żadna moc ludzka, choćby z p. Cyganiewiczem na czele. Takich dzieł mozolnie zbudowanych nie obala się jednym zamachem — powiedział sobie p. namiestnik i przestał zaglądać do garnków rodzin urzędniczych, gdzie zamiast koguta gotują się kiełbaski z koni tramwajowych, emerytowanych dzięki magistratowi zwalczającemu dzielnie drożyznę mięsa szlachetnego.

Tak skończyły się dobre chęci p. Potockiego pozornie na niczem, ale dały inicjatywę do dalszej akcji, teraz jeszcze bardziej potrzebnej. Urzędnicy bowiem na wiadomość o zamierzonej konwersji długów wykorzystali do reszty źródła kredytu i pozaciągali zużycie nowe pożyczki. Na jedno wyjście — kalkulowali sobie — czy skonwertuje się potem tysiąc, czy dwa tysiące koron. Zabrali się więc sami do obmyślenia wyjścia i oto zjeżdżają się radzić... Najlepiej byłoby posunąć kalendarz o dziesięć lat naprzód i kazać sobie wypłacić pensję za cały czas przesunięty. Wielu, wielu urzędników żyje za te pieniądze, które dopiero po dziesięciu latach kasy państwowe będą miały wypłacić...

Niezależnie od tego magistrat ogłasza, że tzw. taniego opału miejskiego aż do odmiennego zarządzenia nie będzie się sprzedawać na zamówienie pisemne. Pozostaje zatem czekać, aż pachołkowie magistracy pojawią się na ulicy. Mieszkam prawie w śródmieściu (Pańska 11), mam mieszkanie frontowe, często stoję przy oknie i widziałem już na mojej ulicy prezydenta Michalskiego, eksprezdenta Małackowskiego, wiceprezydentów dra Rutowskiego i Ciuchcińskiego, widziałem już prawie wszystkich radnych i urzędników magistratu, egzekutorów, żandarmów, muzykę wojskową, niezliczoną ilość pogrzebów, straż pożarną, artystki teatru miejskiego, wóz ratunkowy, wojsko, karawaniarzy, posłów sejmowych, studentów węgierskich, szacha perskiego ze świtą — ale wozu magistrackiego z tanim opałem miejskim naprawdę jeszcze nigdy nie widziałem na „mojej“ ulicy. Przypuszczałbym,

że w magistracie dowiedzieli się, przy której ulicy mieszkam i z rozmysłu zakazano tam wysyłać wozy z tanim opałem, ażebym się nie zagrzał zbyt tanio i po magistracku, ale słyszałem od wielu innych, w najlepszej zgodzie żyjących z magistratem, że i oni naprośno wyglądają całymi godzinami na magistracki wóz ratunkowy z tanim opałem miejskim.

Same nieba zauważyły już tę lekkomyślność lwowskiego magistratu i wstrzymały się z wysłaniem swoich mrozów na ziemię ludzką, pomimo, że druga połowa listopada się kończy, a grudzień za pasem. Ale i niebo jest przy całej sw. jej łaskawości i wstrzemięźliwości trochę nieogłędne, bo nie pamięta, że Lwów nie tylko na mrozy, ale nawet na deszcz lub wiatry nie jest jeszcze dostatecznie przygotowany. I tak lekki wietrzyk w zeszłym tygodniu sprawił, że największa w mieście instytucja szkolna, bo sam uniwersytet, omal nie runął, przyczem wiele osób byłoby życie złożyło w ofierze — nauce. Na szczęście zauważyli to murarze, rozpedzili studentów i podparli uniwersytet lwowski patykami. Mamy więc teraz podparty, a więc jako tako bezpieczny uniwersytet, ale... ale tylko do czasu, aż znów nie zawieje silniejszy wietrzyk. Senat podobno uchwalił zbudować dookoła gmachu uniwersyteckiego bardzo wysoki parkan z desek, któryby go chronił przed wiatrami, balonami i piłkami dzieci, bawiących się w pobliskim ogrodzie botanicznym. Na szczęście nasi słuchacze są spokojni, nie walczą i nie wyrzucają się z gmachu. A może to właśnie dzięki starej ruderze uniwersyteckiej studenci nie wszczynają tam żadnych sporów z obawy, ażeby niebacznie potrąceniem kolegi nie zawalić gmachu. Tak, czy owak — dobrze jest, bo już zaradzono niebezpieczeństwu.

Natomiast z ratuszem nic jeszcze nie zrobiliśmy, bo wiatr wiał dość daleko, aż na ul. św. Miłkołaja. Gdyby jednak najbliższy wiatr zerwał wieżę ratuszową, albo wyrwał z rynku cały ratusz z korzeniami, to prezydent zwołałby nadzwyczajne posiedzenie rady, na którym radny Czarnecki ze znaną swadą wniosłby interpelację, co też prezydent zamierza uczynić, ażeby wstrzymać znane z zuchwałości wiatry lwowskie, dla których niema nic świątego, podobnie jak dla policji, przyczem p. radny zastrzeże się jaknajkategoryczniej po raz setny i któryś, że sprzeciwia się stanowczo założeń jatek miejskich.

Pan prezydent odpowie bez przygotowania, że nad tą sprawą już pomyślał, polecił ją zbadać komisji teatralnej i budowniczej, zaś co do wiatrów to powinien p. radny Czarnecki jaśniej się wyrażać, bo nie można wiedzieć, czy chodzi tu o wiatry atmosferyczne, czy polityczne, czy też wiatry miejskie, pospolite które wieją w lwowskiej radzie miejskiej. Jak wiadomo, to i tu wieją różne wiatry, stosowne do partyi, do jakiej kto się przyznawać musi.

Nie jeden bowiem nie chciałby należeć do stronnictwa, do którego należy z konieczności. Wyliczać tych wszystkich byłoby zbyt ciężko, bo każdy ich zna, a potem byłoby to niedelikatnością. Wszak nawet poseł Stapiński onegdaj w sejmie wyłamał czył zagadkę ustaw propinacyjnych tem, że zasiada w tym sejmie kilkudziesięciu wielkich propinatorów, a nazwisk ich nie wymienił z tego samego powodu. Znamy ich... Na co jeszcze owacy, nie woływać ich po imieniu.

Inną owacyę urządzono onegdaj ks. Stojałowskiemu w kawiarni kryształowej. Książd prałat niebacznie wpadł w istne gniazdo smocze według swego rozumienia. Wdepnął bowiem do kawiarni, gdzie gromadzą się żydzi, żydówki, a co najgorsze — socjaliści. A może to uczynił z rozmysłu, w myśl sentencji, że nieprzyjaciela należy poznać z blika. Trzeba przytem pamiętać, że historyczna postać księdza Stojałowskiego miała już czas i powód urósł w wyobraźni nawet wrogów jego do rangi legendarnej figury. Socjalistom, wiecującym w kawiarni kryształowej, ani przez myśl może nie przyszło, by kiedy mogli tak blisko, tak „familiarnie“ oglądać księdza prałata, ciskającego swoje pioruny polityczne z mównicy sejmowej lub przedwyborczej, albo z poza płota swoich organów, by go mogli teraz widzieć tu, przy sąsiednim stoliku, przy czarnej, o sześć kroków od mizdrzącej się do gości kasyerki i podziwiać tego męża „wie er sich räuspert und wie er spuckt“...

Czy można się dziwić, że jakoś odruchowo, instynktownie powitali go gromkim „hurra“, „niech żyje“ (e-pcich!) książd lampiarz itd..

Ale ks. Stojałowski postarzał się. stracił odwagę cywilną... Zamiast wyleźć na pierwszy lepszy stół, stanąć między ciastkami i wygłosić płomienną mowę polityczną, ażeby zamknąć usta całej ka-

wiarni razem z kasyerką i kelnerami, rzekł sobie pobożnie: „Boże, przebac im, albowiem nie wiedzą co czynią“ i wyszedł z kawiarni, nie chcąc warcholnić się z tymi, „którzy nie wiedzą, co czynią“...

Inny spór — jeżeli tamto zajście sporem nazwać można — wyniknął między Janem Gallem a dyrektorem opery Grąbczewskim. Kim jest p. Gall, wie chyba każdy. Pomimo, że jesteśmy Abderą, Pipidówką, Pacanowem — jak kto woli — Galla, jako pieśniarza, jako profesora, jako znakomitego znawcę muzyki, nie tylko szanujemy, ale uwielbiamy wszyscy. Gall pisuje recenzje muzyczne w „Nowym Wieku“. Sam tak bardzo popularnym będąc, wybrał popularny dziennik, czytany dziś zresztą przez wszystkich. Rzecz prosta, że wolno mu otwarcie wypowiadać swoje zdanie, pod którym zresztą kładzie swoje imię i nazwisko. Nie podobało się to p. Grąbczewskiemu, że Gall otwarcie zganił bez zastrzeżeń kilka przedstawień opery obecnej, a na et pozwolił sobie napisać do recenzenta list w tonie, jak sam Gall powiada, bardzo grzecznym, tj. pseudopoważnym, w którym proponuje Gallowi objęcie dyrekcyi opery lwowskiej... To już są drwiny, które, co prawda, nie są żadnym paradoksem, bo moglibyśmy i wolelibyśmy widzieć Galla dyrektorem opery, choć sam tego nie chce, ale drwiny w zamiarze... Pan Grąbczewski chciał tu zadzwic z Galla, a choć p. Grąbczewskiego nie znam wcale, to jednak pozwolę sobie zrobić mu skromną uwagę, że są we Lwowie osoby, z których drwić nie wolno, bo ich zasługi, ich mir i popularność na to nie pozwalają, czyniąc ich nietykalnymi, a drwinami, skierowanymi w stronę takich osób, obraża się nie tego, którego dotknąć nie jest się w możności, ale całe otoczenie, złożone z tysięcy wielbicieli gorących i szczerych...

Że żaden dziennik lwowski nie ujął się za szanownym profesorem, to tylko świadczy o tem, jak bardzo zasługujemy na nazwę Abdery, ale mimo to wątpię, czy znajdzie się ktoś we Lwowie, ktoby pochwalił czyn p. Grąbczewskiego. Sumienny recenzent, jakim chyba jest Jan Gall, dokładnie rozważa, jak ma ocenić daną rzecz, a po napisaniu nic więcej wiedzieć nie chce, jak kto przyjmie jego ocenę i co na nią odpowie listownie...

Gdybyśmy mieli pozwolić na taką korespondencję, to wreszcie dojdziemy do tego, że słynny § 19 ust. pras. znajdzie i tu zastosowanie a po niego poranku otrzyma redakcja sprostowanie na podstawie § 19 u. p.: „Nieprawdą jest, jakoby śpiewał w polatanych spodniach, natomiast prawdą jest, że w całych spodniach śpiewałem...“

W ten sposób postępując, p. Grąbczewski nie może liczyć na powodzenie. A nie mówię o samem powodzeniu materyalnem... No bo...

A teraz co innego. Jak zwykle na zakończenie. Pewien radca, nawet właściciel zadużonej kamieniczki i dwóch córek, ma nadto i tę słabą stronę, że regularnie raz na tydzień — jak twierdzi pani radczyni — „zapomina się“. Co prawda, to nie tylko „się“ zapomina, ale i o drugich i o świecie bożym. A choć to zapomnianie się powtarza się od lat dziesięciu z punktualnością zegara kolejowego lub kancelisty sądowego raz na tydzień, tj. w sobotę wieczorem, to jednak dotąd nikt nie był w stanie — nie wyłączając samej pani radczyni — przypomnieć panu radcy, żeby się dziś znów nie zapomnieli. Guccio Fiszer jako Śiad Źkiewicz, a pan radca z ulicy... to dwie krople wody sodowej. Ostatniej soboty wracał, jak zawsze, nakładając długi, z powodu fatalnych zygzaków, mocno „naelektryzowany“ mrucząc pod nosem jakąś rzewną pieśń z młodości sielskiej, anielskiej, to znów naprzemian klnąć magistrat i jego porządku i jego latarnie, wążące w drogę spokojnym obywatelom... Wtem chwytą go ktoś za bary...

— Na bok policaj — zawołał pan radca, jakby ze snu zbudzony.

— To nie policaj, to ja... — odowiedział napastnik.

— A, to ty Jasiu, dawaj pyska...

Pocałowali się.

— A ty znów kirny. hultaju jeden, popatrz na mnie, jak ja się trzymam.

— To ty się tak trzymasz — zawołał radca — chyba nie widisz, że ja stoję prosto, a ty się chwiejesz, jak ratusz lwowski.

I po tych słowach pchnęło coś pana radcę do muru hotelu Żorża. Szczęście, że to silny mur.

— No i kto kirny?

— A wiez — powiada p. radca — możliwe, że ja, a nawet już wiem dlaczego. Wypiłem dwieście bomb pilznera i nic, to mnie nigdy nie szkodzi, ale potem zjadłem kawalczek sera i to mnie poderżnęło... Ten kawałeczek sera...

Klewe.